

Reichel-Kanik Wanda Beatrycze
Nagranie relacji i redakcja maszynopisu: Janina Wołczuk
Temat: Ziemia Lidzka.....

 ARCHIWUM WSCHODNIE

Urodziłam się 13 października 1921 roku w Pradze Czeskiej, z domu Piszyngierówna, córka Antoniego i Janiny z Marczaków. Moja mama studiowała na Uniwersytecie Kijowskim. W okresie rewolucji trafiła jako opiekunka dzieci do Tyflisu /Tbilisi/. To były dzieci z sierocińca, mama była kierowniczką tego sierocińca. Tam, w czasie rewolucji wyszła za mąż za Czecha Romana Piszyngiera. Matka moja pochodziła z Łonzy, tam zrobiła maturę w gimnazjum carskim, a po maturze pojechała na studia do Kijowa. Mama była sierotą, dlatego losy rzucały ją w różne strony.

Losy rzuciły ją do Pragi i tam się ja urodziłam. W 1922 roku mama ze mną przyjechała do Polski, a potem przyjechał ojciec. Rodzice zostali skierowani do pracy na kresy. Ojciec był z nami kilka lat. Na kresach potrzebne były kwalifikowane siły pedagogiczne, a moja mama studiowała filozofię, a potem pedagogikę. Mama została skierowana na tereny Nowogródziny. Moje dzieciństwo upłynęło we wsi Kożuchowce gmina Dworzec powiat i województwo nowogródzkie. Tam mama przez 10 lat była kierownikiem szkoły. Kożuchowce to była wieś w połowie prawosławna, w połowie rzymskokatolicka, bo tam wsie dzieliły się nie tyle na narodowości ile na wyznania. Część rolników była bardzo zamożna, część bardzo biedna. Pamiętam okoliczne dworki, utrzymywaliśmy z nimi bardzo ścisłe związki. Do Nowogródka była kolejka wąskotorowa, potrzebowałyśmy czasem jechać do stacji furmanką i jak pani Piszyngierowa jechała do stacji furmanką i spóźniała się, to maszynista czekał. Ta ciuchcia to był jedyny środek łączności.

Kontakty towarzyskie utrzymywaliśmy ze szlachtą z okolicznych dworków i z księżmi - zarówno prawosławnym jak i katolickim. Duchowni ci żyli ze sobą w najlepszej zgodzie. W okolicznych dworkach byli rdzenni ziemianie rosyjscy, którzy siedzieli tam jeszcze z czasów carskich, sprzed rewolucji, na przykład Leonowicze.

Kanik-Reichel Wanda Beatrycze-c.d.

Faniętam, że w albumach tych Rosjach były fotogeafie gabinetowe rodziny cesarskiej. Rosjanie ci wcale nie występowałi przeciwko polonizacji kresów. Uczyłam się w gimnazjum z młodzieżą różnych narodowości - Rosjanami, Białorusinami, Żydami...

Uczyłam się początkowo w gimnazjum w Nowogródku To było gimnazjum starego typu, zaczęłam naukę od razu w II klasie, dlatego potem wcześniej skończyłam. Nowogródek - cudowna fara, wspaniali nauczyciele. W szkole nie było żadnej dyskryminacji, byli tam przecież obok już wymienionych narodowości jeszcze i Tatarzy i Karaimi - to był konglomerat narodowości - i wszyscy byli bardzo zżyli między sobą. W Nowogródku było równoległe gimnazjum białoruskie i do niego Białorusini mogli uczęszczać, ale ziemiaństwo posyłało swoje dzieci do gimnazjum polskiego.

W Nowogródku zaliczyłam II klasę starego typu i III nowego. Potem nasi wujostwo, którzy pracowali w szkole koło Szczuczyna doszli do wniosku, że mama powinna się przenieść w tamte okolice, żeby być razem. Wujostwo nazywali się Brodnicy - Helena i Wacław. Brodnicy mieli 3 córki, w 1938 roku wyjechali do Kozienic i dzięki temu uniknęli deportacji, która ich na pewno by nie ominęła. Wuj Brodnicki pochodził z Kozienic, a ciocia z Łomży.

W Szczuczynie bylam od 1934 do 1937 roku. Wśród nauczycieli gimnazjalnych był Zygmunt Stankiewicz. Uczył w gimnazjum i w seminarium muzyki. Profesor Jankowska była historykiem, profesor Kaczorek biologiem, prof. Omilianowicz był dyrektorem w gimnazjum. W Szczuczynie było seminarium nauczycielskie; seminarium się stopniowo likwidowało, a powstawało na jego miejsce gimnazjum. Seminarium nauczycielskie było męskie, a gimnazjum już koedukacyjne. Gimnazjalistki miały bardzo duże powodzenie.

Nowogródek z racji tego, że był miastem wojewódzkim miał kilka reprezentacyjnych budynków. To było bardzo piękne miasto, słicznie położone. Okolice Nowogródka były zamieszkałe przeważnie przez Białorusinów, natomiast samo miasto

zamieszkiwali Polacy i to pochodzący z Polski centralnej. Do inteligencji miejscowej na tamtych terenach było bardzo mało.

Uczęć się w gimnazjum mieszkałam początkowo na stacji, a potem w internacie. Młodzież w gimnazjum pochodziła z bardzo różnych środowisk, przeważała młodzież z małych okolicznych miasteczek. Było bardzo dużo Żydów - zarówno w Nowogródku jak i w Szczuczynie. Nauka kosztowała. Ja jako dziecko nauczycielskie miałam 50% zniżki. Oplata wynosiła chyba 65 złotych za pół roku - dla mnie. W gimnazjum były klasy różnoległe, liczyły około 30 osób. Dość mało było dzieci z typowych białoruskich wsi, ale byli chłopcy, którzy z całą świadomością podawali narodowość białoruską. Było kilku Rosjan, ale była przewaga polskiej młodzieży.

W Szczuczynie było kino, z bardzo ciekawym repertuarem polskim. W kinie był zawsze komplet. W mieście nie było wojska, ale było coś w rodzaju kasyna, resursa - to był odpowiednik dzisiejszego domu kultury. W tym krótkim okresie gimnazjalnym my widzieliśmy tyle, że młodzież w żadnym innym miasteczku powiatowym nie widziała. Przyjeżdżali aktorzy, soliści opery warszawskiej, na przykład Wanda Werwińska, Ladis - brat Kiepur, Bender - wspaniały bas opery warszawskiej. Te wizyty były celowe - chodziło o pokazanie naszej kultury polskiej kresom. Występy te były na wysokim poziomie. Oglądaliśmy spektakle Szaniawskiego. Przyjeżdżała z koncertami z Wilna "Lutnia". W resursie odbywały się bale - karnawałowe zimowe i wiosenne. Na imprezach takich zawsze była pełna sala. W gimnazjum bardzo aktywnie działał komitet rodzicielski, który organizował pomoc ^{ym} biednym uczniom. Miałam kolegę, który był w strasznej nędzy - to był Franciszek Łoś. To był syn z nieprawego łoża, ten kolega chodził każdego dnia do innego domu na obiad. Komitet rodzicielski organizował też bilety, bilety były bardzo tanie, bo koncerty te nie były obliczone na zysk.

Szkola odgrywała dużą rolę w środowisku, przede wszystkim wychowawczą. Kiedy w kinie szły filmy niedozwolone dla młodzieży, to nauczyciele mieli dyżury. Na ulicy nauczyciele zwracali uwagę, czy uczeń jest odpowiednio ubrany - w mundurku.

Moja mama mieszkała wtedy parę kilometrów od Szczuczyna -

to była wieś Stare Gierniki, typowo polska wieś, katolicka. Mama wynajmowała mieszkanie u gospodarza, który miał nowy dom; mieszkanie było ładne, dwupokojowe. A szkoła była w gorzszym pomieszczeniu - małe okienka, dwie izby. Przez pewien okres mama pracowała z inną nauczycielką - przez pierwsze dwa lata, a potem była już sama, bo ilość dzieci we wsi się zmniejszała.

Moja mama /mówię o Kozuchowcach/ była nie tylko nauczycielką na wsi, ale też lekarzem, prawnikiem, pisarzem gminnym, aptekarzem - to wszystko było w jej rękach. Wieś była zacofana, kompletny analfabetyzm, zabobony. Mama była również katechetką, bo dla księdza było za daleko dojeżdżać - 6 kilometrów. Działanie Kościoła - cywilizacyjne - było niewielkie, ale ludność była bardzo pobożna, w niedziele i w cerkwi i w kościele pełno było narodu. A w Giernikach nie było ani jednej rodziny prawosławnej.

Bardzo dużo osadników było koło Nowojelni, co najmniej kilkanaście rodzin. Ale osadnicy bardzo źle sobie radzili, to byli ludzie, którzy nie bardzo umieli sobie radzić z ziemią.

Matka moja nie pochodziła z kresów, ale myśmy tak wrosły w te okolice, że ja się do dziś czuję kresowianką. Nie nauczyłam się mówić "po prostu", ale rozumiałam trochę. Ludność miejscowa z nami mówiła po polsku, bo mama musiała mówić po polsku, a jeśli już zaszła potrzeba, to mama mówiła po rosyjsku, znała przecież literacki język rosyjski. Ja też się osiuchałam z rosyjskim.

W okresie gimnazjalnym, kiedy mama robiła maturę, to profesor historii powiedział jej, że doskonale zna historię Polski. Mama zbladła, bo sądziła, że oblała maturę. Ale okazało się, że maturę jednak zdała. Bardzo to przeżywała, bo była sierotą i nie mogła pozwolić sobie na oblanie matury. Mama była ogromną patriotką. Na kresach krzewiła polskość.

We wrześniu 1939 roku musiałam być w Raduniu, chcieliśmy kupić cukier, ale dla nas już nic w sklepie nie było - sklepy były żydowskie. Pamiętam te naszerujące źle uzbrojone oddziały z nieodstępnym dla nich zapachem spleśniałych sucharów i potu. Żydzi wychodzili witac bolszewików chlebem i solą.

Mieszkałyśmy wtedy w Kozakowszczyźnie. Prawie że następnego dnia u mamy zjawił się politruk. Mama w 1939 roku uczyła jeszcze w szkole, do stycznia 1940 roku. W Kozakowszczyźnie byliśmy parę miesięcy. To była wieś katolicka, było trochę Litwinów.

Nowe władze powiedziały, że tutaj jest Białoruś, czy mama jest przygotowana do pracy w białoruskiej szkole, zalecono, by wszystko, co wykladała dotychczas wymazała sobie z pamięci, bo Polski już nie będzie. A mama mówiła do politruka, że we wsi są tylko Polacy, że pierwszej jej wiosny na dłoni wyrosną, niż Polska zostanie wymazana z mapy Europy.

Miejscowa ludność z pozoru była obojętna w stosunku do bolszewików. Było kilka rodzin, które bardzo przeżywały wejście bolszewików. Jedna - z tych rodzin potem po aresztowaniu mamy opiekowała się mną. Na temat mamy były prowadzone wywiady przez nowe władze, mama znana była ze swojej działalności społecznej, prowadziła świetlicę.

angażowała często swoje środki, organizowała choinki.

Ponieważ władze uważały, że nauczanie powinno być w języku białoruskim, a większość nauczycieli nie znała języka białoruskiego, zostały zorganizowane kursy tego języka dla nauczycieli w miejscowości odległej od Lidy o 30 kilometrów. W dużej nowoczesnej pięknej szkole w jakiejś gminnej miejscowości zebrano nauczycieli na ten kurs. Pojechałam tam razem z mamą, bo też pracowałam jako nauczycielka, ponieważ miałam za sobą dwa lata liceum pedagogicznego. Na kursach w dzień były wykłady, a wieczorem w sali gimnastycznej nauczyciele się zbierali na imprezy kulturalne. Pewnego razu na takim wieczorku ktoś wziął skrzypce do ręki i zaczął grać "Nie rzucim ziemi..."

str. B taśma I

Mama w rytm tej melodii zaczęła klaskać, ale nie tylko mama. To była pewno prowokacja. Mama była taka szczęśliwa, że usłyszała tutaj "Rotę". W niespełna 5 czy 7 minut zjawili się dwóch panów, którzy po polsku wywołali mamę. Ja zaraz pobiegłam za mamą. Był już wieczór. Zaraz po zabraniu mamy wszyscy ode mnie się dyskretnie odsunęli, ale ktoś podsunął mi myśl, że teraz autobusu do Lidy nie ma i mama pewnie jest na posterunku. Dotarłam do tego posterunku idąc przez jakiś cmentarz. Waliłam do drzwi tego posterunku, początkowo nie chciano mnie wpuścić, ale mama przekonała ich, żeby mi otworzono. Wpuszczono mnie do środka, przesiedziałyśmy razem do świtu, nawet pozwolono nam rozmawiać. Pierwszym autobusem mama została przewieziona do Lidy do więzienia. Nie miałam w tym czasie kontaktu z mamą, raz tylko pozwolono mi podać paczkę i wtedy powiedziano, żeby następnej paczki już nie przynosić, bo szykuje się wyjazd. Przez parę dni mieszkałam nawet u znajomych w Lidzie, żeby zobaczyć, jak mamę będą prowadzić z więzienia do wagonu, ale to mi się nie udało.

Nie pamiętam, żeby była duża kolejka przed więzieniem, kiedy nosiłam mamie paczkę. Z mamą rozstałyśmy się na przystanku autobusowym, kiedy ją wieziono po aresztowaniu do Lidy, w autobusie nikt nie wiedział, że mama jest uwięziona.

Po wywiezieniu matki za Ural otrzymałam od niej pocztówkę z jej adresem. To było chyba na początku 1941 roku. W kartce nie było nic, tylko zawiadomienie, że jest w obozie i podany adres. Dzięki temu mogliśmy się skontaktować.

Uniknęłam deportacji w kwietniu 1940 roku, kiedy wywozili rodzinę mojego męża, bo nie było mnie wtedy w Kozakowszczyźnie. Miałam przyjaciół w Szczuczynie, znalazłam pracę. Z moich znajomych została potem wywieziona moja

koleżanka Halina Zmarzłówna - jej ojciec pracował w inspektoracie /była wywieziona równocześnie ze mną/. Halina została wywieziona z matką, ojciec był zmobilizowany, więc trafił gdzie indziej. Halina mieszka w Gliwicach. Z ojcem spotkała się po wojnie.

Ze Szczuczyna w czerwcu 1941 roku deportowanymi były wypełnione dwa wagony. W moim wagonie była Lisiewiczowa z synkiem /teraz mieszka w Łodzi/ - Lisiewicz miał sklep wędliniarski. Z Lidy była rodzina żydowska Zagierów. Była też

rodzina Moczulskich - rodzice i trójka dorastających dzieci;
rodzina Dębskich - organista z córką i synem /bardzo
muzykalna rodzina/...Ja miałam u bolszewików podwójnie czarna
kartę, bo i z racji matki, i z racji zawodu i z racji meza.

Nasz transport doszedł do Abakanu. Tam po przyjeździe
ulożowano nas w szkole i potem rozparcelowano po terenie
Chakaskiej autonomicznej obł-asti. Dojechalismy do Abakanu
wyjątkowo szybko, bo już w końcu czerwca byliśmy na miejscu,
a to dlatego, że już zaczęła się wojna, w Mińsku
słyszeliśmy już bombowce niemieckie. Wieźli nas szybko, bo
im potrzebny był transport i potrzebna była siła robocza. Z
kolchozów poszli na front mężczyźni i niektóre kobiety i
dlatego skierowano nas przede wszystkim do kolchozów.

Znalazłam się w nowych warunkach sama, nie znałam pracy
fizycznej - chowana byłam pod kłosem, Zabrano mnie tylko z
małą walizeczką. Byłam osłuchana z językiem rosyjskim, bo
mama znała przecież język rosyjski. Miałam też serdeczną
przyjaciółkę Rosjanke, to była Aleksandra Mazuro.

Po wkroczeniu Rosjan na kresy w 1939 roku Rosjanie,
którzy mieszkali w naszych okolicach przed wojną, znaleźli
się w podwójnie trudnej sytuacji, bo Białorusini -
nacjonalisci tepili Rosjan i Polaków i Litwinów. Rosjanie
obrywali ze wszystkich stron. Ojciec tej koleżanki musiał
się ukrywać. Potem pracował gdzieś ciężko fizycznie, ale
rodzina ta nie była deportowana. Matka pracowała w szkole,
uczyła rosyjskiego. Uratował ich chyba bardzo dobry stosunek
do nich /okolicznej ludności. Zresztą oni mieli bardzo małe
folwarczki - nazywał się Mogilnica. Dziadek ich był po
studiach rolniczych - pan Konstantynowski. Ponieważ on był
inżynierem rolnikiem, a taki fachowiec był potrzebny, wzięto
go do urzędu. Pan ten był inwigilowany, ale był nowym
władzom potrzebny, bo przecież już rozpoczęły się nowe
porządki w rolnictwie.

Po przyjeździe do kolchozu zostałam ulokowana w lepiance.
To był kolchoz, gdzie tylko dwa domy były drewniane, reszta
zabudowań - to były lepianki. Ja trafiłam do najgorszej,
która stała pusta. W lepiance była ława przymocowana do okna,
zdeństwowany jakiś piecyk, na dole klepisko, małe okieneczko
tuż nad ziemią. W tym kolchozie byli też państwo Moczulscy,
Dębscy, Lisiewiczowa. Na drugi dzień kazano nam już jechać do
pracy do brygady. Przedtem przeszliśmy swoistą lustrację -
brygadzieta i kobiety Chakaski oglądali nas i komentowali,
kto przeżyje, a kto nie. Ja miałam nie przerzyć, a pani
Dębska - dorodna kobieta jak iania - wzbudziła zachwyt. A tak
się złożyło, że cała rodzina Dębskich umarła: pani Łodzka i
jej brat i ojciec. Dębscy urządzili się względnie dobrze, bo
ojciec został stróżem, chłopak poszedł na kurs dla
traktorzystów - a więc miał dodatkowy pajok, a pani Łodzka
wykazała się znajomością księgowości. Dostali też izbę w
budynku drewnianym.

Pani Lesiewiczowa widząc, że ja będę wysłana do brygady
i będę otrzymywała normę chleba zaproponowała, żebym się
podała za jej kuzynkę, żeby ona mogła na miejscu pobierać
moją normę chleba, a ona w zamian za to będzie się ze mną
dzielić swoimi zapasami /a była przecież właścicielką sklepu
wedliniarskiego/. Potem to z tym różnie było.

Reichel - Kanik o.d.

Pojechałam więc do pracy z brygadą w pole. Zaraz na drugi czy trzeci dzień podczas pracy zemdlalam, musiałam pracować ciężko, bo byłam w zespole i nie mogłam się objąć. Przez cały czas początkowo nic nie jadłam. Gotowano nam w polu, rano był czaj, tzn. woda gorąca z solą, a wieczorem zupa. W dzień przywożono czasami wodę albo wodę z komarami. Potem skierowano mnie do innej pracy - do wiania zboża, ale miałam za słabą rękę. W końcu dostałam inną pracę, a zaczęło się od tego, że tam składowano siano w przyzmy. Codziennie trzeba było podawać dane w metrach sześciennych - ile spryzmowano siana. Nikt nie potrafił tego obliczyć, a ja jeszcze coś z geometrii pamiętałam i potrafiłam to podać z dokładnością do centymetrów. O, to już było dużo! Zostałam więc po tych wszystkich niepowodzeniach diesiatnikiem. Przydało mi się też i to, że kiedyś w majątku męża jeździłam konno, bo tutaj musiałam olbrzymie połacie ziemi objechać na koniu i pomierzyć, ile pracy zostało wykonane i sporządzić raport. Ale to wcale nie była łatwa praca, bo przed południem pracowałam z innymi, a po południu objeżdżałam te pola.

Ludność miejscowa była od nas odporniejsza, ale i wśród nich były zachorowania na malarię. Komarów była moc. Klimat był tam kontynentalny - w dzień gorąco, a w nocy chłód. Polacy byli w tej wsi pierwszymi zesłaneccami, potem przywieźli też Niemców z Powoźna. Kobiety miejscowe - Chakaski - były antypatyczne. Przez cały okres mojego tam pobytu nie byłam ani razu w lepiance u Chakaski. Odwiedzaliśmy się tylko między sobą - rodziny polskie.

Rodzina Dębskich nie wróciła do Polski; chłopak poszedł w 1943 roku do Armii Kościuszkowskiej i zginął pod Lenino; pani Łodzia chyba w 1944 roku /ja już byłam w Abakanie/ napiła się jakiegoś bardzo zinnego kwasu i dostała galopującego zapalenia płuc - z kobiety łani zamieniła się w kościotrupa. Pochowana została w Abakanie. Ojciec Dębski żył jeszcze przez jakiś czas w Abakanie, odwiedzał mnie szczególnie często po aresztowaniu mojej mamy; marzył tylko o tym, żeby swoje kości złożyć na polskiej ziemi, ale niestety, nie doczekał, zmarł na puchlinę wodną w Abakanie. Pan Dębski był tragiczną postacią.

W 1942 roku przeniosłam się do Abakanu, tam przyjechała też moja mama. Wtedy w Abakanie było już dużo Polaków, bo to i ci, których przywieziono do miasta i ci, którzy wyszli po amnestii z tajg. Mieszkali różnie. Ja początkowo mieszkałam na przedmieściu Abakanu u pewnego staruszka Rosjanina, którego syn był na froncie. Kontaktowałam się wtedy z kilku osobami z naszej grupy polskiej.

Jeszcze przed wyjazdem do Abakanu nawiedziła nas w Kolchozie straszna ulewa i powódź. Pani Lesiewiczowa po tej powodzi trafiła do leśniczówki, a ja razem z nią.

Po tej ulawie trafiłam z ziemianki do baraków. Robiło się zimno, moja znajoma pani nie otrzymywała przydziałów chleba i zdecydowała się przyjąć również i mnie do tej leśniczówki.

W Abakanie spotkałam się z moją mamą. Mama wcale nie opowiadała o pobycie w łagrze, to była chyba blokada psychiczna. Mama była szczęśliwa, że się ze mną spotkała, zmieniła się zewnętrznie - z tegiej przystojnej kobiety zostały skóra i kości. Mama pisała pamiętniki, zostały one zabrane przy aresztowaniu.

Do aresztowania doszło w czasie, kiedy powstawał Związek Patriotów Polskich, namawiano wszystkich, żeby do tego związku należeć. Po tej amnestii, po układzie Sikorski-Majski nie dostaliśmy żadnych dokumentów, nasz status nie był określony. Nie mieliśmy żadnych dokumentów, te, które przywieźliśmy jeszcze ze sobą, zostały zabrane przez NKWD. Po tej amnestii nasze władze lokalne - rosyjskie zastosowały się do warunków układu o tyle, że pozwolono nam się poruszać po terenie jednego powiatu. Wolno mi było z tego kolchozu przenieść się do Abakanu. W Abakanie grupy Polaków miały swoich "opiekunów", ja znałam swojego "opiekuna", to był rosyjski Żyd w randze oficerskiej. Widziałam go często, bo w Abakanie bywały wspaniałe koncerty, które dawali ewakuowani artyści rosyjscy. Nie wszyscy Polacy się tym interesowali, mnie akurat to bardzo interesowało, zawsze z mamą chodziłam na te koncerty. I tam zawsze spotykałyśmy tego oficera.

Mama interesowała się losem dzieci polskich, deportowanych razem z rodzicami. Mama uczyła ich polskiego, literatury. To nie było zorganizowane nauczanie tylko spotkania doraźne, kilka osób w czymś "mieszkaniu". Mamę proszono do pani Gierszewskiej czy do kogoś innego. Mama chodziła do biblioteki, pobyt w Kazachstanie do odebrał jej aktywności intelektualnej.

Rok 1943 był rokiem głodu. Może w kolchozie nie odczuwało się tego tak strasznie. W roku 1941, po tej

powodzi był wspaniały urodzaj, więc te nasze dniówki były jakoś opłacone, mimo, że wszystko było zważone, zmierzone i wysłane na front. Dostałyśmy jakieś zboże, które jakimś własnym sumptem można było zemleć, a w Abakanie był taki głód, że mama zmuszona była sprzedać mostek z ust, bo ja mdlełam z głodu. To może się wydawać dziwne, ale tam był skup złota. Za tę sprzedaną protezę dostałyśmy jakiś kawałek krwawej kiszki. W tym czasie mama napisała do Londynu - do rządu polskiego /rodzina mojej matki była spokrewniona z Ignacym Mościckim, babka moja była z domu Mościcka/, podała, gdzie jesteśmy. Na nasze nieszczęście dostałyśmy odpowiedź, telegram podpisany przez prezydenta Raczkiewicza. Tam były słowa współczucia i obietnica pomocy. Potem skojarzyłam, że to mogła być jedna z przyczyn inwigilacji matki i jej aresztowania.

Czy w Abakanie był mąż zaufania, tego nie wiem. Kiedy mama zachorowała na malarię, to zwróciłam się do osób, które te lekarstwa miały, bo do Krasnojarska przychodziły lekarstwa. Kiedys już tutaj na jednym z zebrań Szczuczyniaków Zmarzłówna wspominała, jakie paczki przychodziły do Abakanu, a ja otworzyłam ze zdumienia oczy.

Raz do roku w Warszawie organizujemy spotkanie byłych seminarzystów i gimnazjalistów ze Szczuczyna, to jest takie spotkanie półprywatne. Organizuje to seminarzysta ze Szczuczyna - pan Kuncewicz /mieszka w Warszawie/ i pan Wacław Grygielewski - z gimnazjum. Przyjeżdżają koledzy z całej Polski, mamy też swego katechetę, mieszka u pijarów w Cieplicach - ksiądz Lybiec - niedawno obchodziliśmy 60lecie jego pracy.

W Abakanie była więc gdzieś pomoc dla represjonowanych Polaków, ale nie było solidarności: solidarność taka była jeszcze w kolchozie - jak jedna z nas miała mąkę, druga kapustę, to trzecia robiła pierogi z kapustą i każda z nas dostała tych parę pierogów. Byli zaradni państwo Moczulacy. A w Abakanie to już był każdy sobie. A ja pracowałam na składzie opałów, zawsze przymykałam oczy i zagadywałam tych

Rosjan, żeby nasi mogli tego węgla sobie nabrać trochę więcej. Polacy przychodzili pytać, kiedy ja będę sama w tym składzie... Przymykałam oczy, kiedy Polacy brali węgiel, a mnie potem nikt nie pomógł.

Po tym telegramie z Londynu żadna pomoc nie nadeszła. Mama zachorowała potem na malarię; zwróciłam się o pomoc do pewnej pani, o której wiedziałam, że ma chininę, ale spotkałam tylko zdumione spojrzenie. Chininę tam Polacy mieli, bo to była miejscowość malaryczna. Tubylcy chodzili nawet latem w kożuchach - tylko włosiem do góry, bo oni też chorowali na malarię.

Do aresztowania mamy niewątpliwie przysłużyło się to pokrewieństwo i telegram z Londynu, ale były też i inne powody. Władzom bardzo zależało by mama zapisała się samą do Związku Patriotów, by w tym związku działała, bo inteligencji tam w Abakanie nie było; było trochę sklepikarzy, restauratorów - taki był przekrój społeczny. Do mamy zwracano się za pośrednictwem Polaka, który współpracował z władzami rosyjskimi, znam to nazwisko, ale nie będę go wymieniać.

Mama orientowała się w trendach politycznych, była oburzona na Wasilewską. Mama znała Wasilewską z przedwojennej działalności w Związku Nauczycielstwa Polskiego i oceniała ją bardzo pozytywnie. Prawdopodobnie nawet spotkała ją kiedyś na jakimś zjeździe... Czytano kiedyś jej "Tęczę"; z nazwiskiem Wasilewskiej ja byłam osłuchana w gimnazjum, ona uchodziła za postępową patriotkę polską. Przed wojną orientacja Związku Nauczycielstwa Polskiego mamie odpowiadała, bo dworki kresowe - dworkami, ale widziało się i tę nędzę i ciemnotę i wyzyskiwanie tych ludzi mieszkających w czworakach - to wszystko matka widziała i oceniała krytycznie. Ale wtedy w Abakanie uważała, że Wasilewska się zaprzedała, bo co innego walczyć w Polsce o dobro uciśnionych, a co innego zaprzedać się władzy radzieckiej. Chyba całe kresy przed wojną były bardzo wrogo nastawione do władzy radzieckiej.

Ludzie czytali "Robotnika", mama też ten tytuł czytała, ale była wrogo nastawiona do Związku Radzieckiego. Ja podzielałam to nastawienie, chociaż niewiele na temat ZSRR wiedziałam. W szkole bardzo mało mówiło się na temat bolszewizmu. Natomiast kształcono w młodzieży patriotyzm - samo położenie geograficzne temu sprzyjało - Nowogródek...

Mieliśmy dość duży księgozbiór w domu, była w domu książka Ossendowskiego o Leninie. Poglądy kształtowało się też poprzez wymianę zdań na spotkaniach towarzyskich.

W Abakanie mieszkaliśmy u gospodarza w wynajętym pokoiku. Ja czasami przez całą dobę byłam na tym składzie opałowym, nie wiem, jakie rozmowy toczyły się między tym gospodarzem a mamą. Pewnego razu mama ze wzburzeniem powiedziała, że gospodarz wmawia jej, że obraziła Stalina, a nic podobnego nie miało miejsca, mama nic nie mówiła obraźliwego pod adresem Stalina. Gospodarz uprzedzał się do nas, wmawiał to obrażenie - i on był koronnym świadkiem. On był więc na usługach władzy, może go przekupili. Mieszkaliśmy u tego gospodarza do lata 1943 roku, tam obchodziliśmy Wielkanoc. Pamiętam tę Wielkanoc: za odrobinę węgla z mojego przydziału kupiłam ćwiartkę mleka. W nagrodę za przepracowane noce /transport kiedyś był w nocy/ dostałam z urzędu miejskiego przydział - ćwierć kilo makaronu wermiszeli. To mleko z wermiszelem to miał być nasz obiad wielkanocny. Ale ponieważ garnek - czugun, w którym gotowaliśmy, był bardzo brzydki, przelałam to danie do miski glinianej. Nie mogliśmy się już doczekać, kiedy to się ugotuje: mama stała nad tym, ja stałam... Nalawamy do miski, miska gliniana pękła - i wszystko wylądowało na podłodze. Rozplakałam się, a mama zaczęła mnie pocieszać, łyżką drewnianą zebrała to, co się dało zebrać.

Kiedy doszło do aresztowania mamy mieszkaliśmy już na składzie opałowym, dostałam przydział na taką kłitkę. Urząd Gortopu mieścił się w pewnej odległości od składu. W pamiętnym dniu byłam poza składem przez jakiś czas. Wracam

do domu, widzę samochód i dwóch NKWDystów, w mundurach, oni się wtedy już nie patyczkowali... Zobaczyłam, że mamę zabierają - żadnych wyjaśnień, żadnych komentarzy; nie pozwolono mi wiaść, pojechać razem z nią. Na drugi dzień dostałam się do funkcjonariusza, który ją aresztował, przekonywałam go, żeby mnie też aresztował...

Jeździłam potem do matki cztery razy. Musiałam w Abakanie otrzymać przepustkę do miejscowości, w której była matka - początkowo to było koło Krasnojarska /obóz ten chyba nie miał nawet swojej nazwy/, to było ponad 700 kilometrów od Abakanu. W Iagrze, a to był teren ogrodzony nad samym Jenisiejem, zwróciłam się na wartowni o zezwolenie na widzenie się z matką. Matka wtedy już nie pracowała, nie była zdolna do pracy. Mamę przyprowadzili do wartowni, przekazałam jej te lepioszki, które upiekłam, dostałam 15 minut na rozmowę. Musiałyśmy rozmawiać po rosyjsku, strażnik stał obok. Matka mówiła, że cieszy się, że mnie widzi, pytała mnie o zdrowie...

Potem mama była w miejscowości Kacza, tam odwiedziłam ją 3 razy, za czwartym razem nie miałam szczęścia.